



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Praca kobiety.

Praca kobiety ograniczała się długo do zajęć u domowego jedynie ogniska, czy przecież nie była ona zarazem pracą w społeczeństwie, w tym ogóle, do którego należała? Każdy kto wpatrzy się uważnie w życie domowe rodzin, dostrzeże, że kobieta tworzy obyczaje, a więc urabia formę, w której to życie występuje do działania w kierunkach, z których jeden jest zachowawczością a drugi postępem, to jest przetwarzaniem form starych już i zużytych na nowe, lepiej odpowiadające ideom, przez które ludzkość ma się udoskonalać i ponad stare wady swoje się podnosić. Życie nigdy w miejscu nie stoi, jest i musi być w niem ta przemiana ciągła, która przecież potrzebuje być zarazem i zachowawczą w tem, co niezmiennem jest w podstawach swoich, i to właśnie jest misją kobiety, bo przez siłę uczucia, mocniej się ona opiera prądom tych fal życia, które unoszą nas nieraz za daleko. Umieć tu rozumny wybór uczynić, to znaczy: nie zasklepić się w tem, co przestaje już mieć racją bytu, a obok tego unieść z przeszłości wszystkie te skarby, które gromadziła wiekowa praca pokoleń.

Nie może tedy kobieta być kwiatem cieplarnianym, trzeba jej nietylko czuć, ale i działać; działalność jej spotyka się przecież w obecnym momencie życia ludzkości z nieznanymi w przeszłości skopułami. Epoka przełomu między starym a nowym rzeczy porządkiem każe jej uważnie patrzeć w życie, a pierwszą tu rzeczą jest to pojęcie, że życie bez pracy, tak mężczyzny, jak kobiety, jest złem a zarazem ciężkiem do zniesienia, bo wegetowaniem bez celu. Należy jej zatem

pracy tej się jać, ale świat, w którego sprawy trzeba jej wpatrzeć się teraz głębiej, ukazuje tyle wielkich celów, wielkich zadań jej wśród społeczeństwa, że zmaleć, zdobniać jej muszą przed oczyma różne te zabiegi i pragnienia w interesie własnym tylko tworzone. Przecież z drugiej strony poznaje już ona rzecz tę wagi ogromnej, że każde, choćby najskromniejsze w swych ambicyach istnienie ludzkie powinno łączyć się z ogółem przez poczucie obowiązków, jakie ma względem niego—że zatem nikt nie może bezkarnie służyć własnym tylko interesom, a więc i ona jeżeli choć trochę czuć i myśleć umie szlachetnie, nie powinna zasklepić się w sobie wyłącznie.

Rodzina to jej świat w miniaturze, może tu ona skromnie i cicho spełniać najwyższe życia zadanie, i dlatego to przyznana jej została przez wszystkie narody ta nazwa kapłanki domowego ogniska. Że kobieta tworzy obyczaje, jest rzeczą nietylko u nas, ale wszędzie znaną i uznaną, a kto w spotrzeniach swych nad życiem umie głębiej wpatrzeć się tu w przyczyzny i skutki, dojrzy, iż są pewne sprawy i prace społeczne, którym ona daje technienie ożywcze. Już dlatego samego, że chowa dziecko, powiedzieć można, że tworzenie przyszłości w znacznej części spoczywa w jej ręku. Jest niewątpliwie niemało kobiet płochych i lekkomyślnych, ale to jest natury niewieściej świętym przywilejem, że skoro pokocha—pokocha prawdziwie, staje się w niej cud przemiany i wtedy zdolna jest do ofiar, poświęceń najwyższych. Ztąd też w chwilach życia trudnych w epokach przełomów ciężkich kobieta mężnieje, pracy się odważnie ima i staje do pomocy mężczyźnie z odwagą, która z gruntu uczucia wyrasta.

Wychowanie, które jej da szerszy pogląd na świat i ludzi, podniesie ją nad drobiazgowość, wada też ta, którą jej zarzucają, nie leży bynajmniej w naturze kobiecej, ale wytwarza ją wychowanie źle prowadzone. Często bardzo wy-

chowawcy sądzą, że skoro życie kobiety ma płynąć strumieniem cichych prac i obowiązków w rodzinie, umysł jej nie potrzebuje obejmować szerszych istnienia ludzkiego zagadnień, ale dzieje się tu przeciwnie. Ta, która głębiej i gruntowniej w zadanie życia i prac ludzkich nie wejrzy, nie zdoła nigdy zrozumieć, co jest to na dział jej pracy oddane—nie zdoła z wyższego, podnioślejszego punktu widzenia pojmywać oddziaływania rzeczy małych na wielkie.

Praca odważna technie nam tę otuchę, którą śmiałości dodaje, i nielekając się pracy, mniej się męczymy, a zarazem doskonalej pracować możemy, bo myśl swobodna już tu nam dopomaga, i kobieta, nie czując się nieszczęśliwą, sił nie traci, ma zatem na pomoc pracy swojej ten spokój ducha, to zadowolenie wewnętrzne, które pomaga jej ciężary życia dźwigać. I zwolna przychodzi pracy zamilowanie, przychodzi uczucie to słodkie, że znaczymy coś w społeczeństwie naszym—że przykładamy się do dobrobytu ogółu naszego, a wtedy rodzi się w nas pewne uczucie dumy tej szlachetnej, która usuwa już na stronę ów wstyd fałszywy, jaki nieraz każe ludziom pracującym rumieć się wtedy, kiedy należałoby im głowę dumnie podnosić w uczuciu godności swej wyższej. Jest nią zawsze to uczucie, że sobie radzić przez pracę umiemy, że posiadamy zatem ten talizman dobroczynny, który nas podnosi nad smutną konieczność załączenia od łaski ludzkiej.

(Dokończenie nastąpi.)

BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANDE GROT. BĘCZKOWSKA

(Dalszy ciąg)

IX.

Interessa Kamieniec szły coraz gorzej. Ku wielkiemu zgorzeleniu Lili i Dolewskiej, oddalono „miss Fanny”. Lekcyje muzyki oświadczyła się udzielać paniom Halina; więc i prof. Łacki, z wielkim żalem, pożegnał Kamieniec.

I służba się zmieniła. Dużo wprowadziła zdrowia ujęły te reformy Stanisławowi, ale inaczej być nie mogło. Lila była oburzona.

— Dlaczego ożeniłeś ze mną? — wybuchła niejednokrotnie. — Miałam hrabiego, taką świetną partya, i byłabym jeszcze niejedną taką znalazła. Zawiązałeś mi świat swoją miłością, a teraz mię tyranizujesz!

On milczał. Co tu mówić wobec takiego — braku pamięci z jej strony? Podobne sceny jednakże niekorzystnie wpływały na jego, i tak już silnie rozprężone, nerwy. On i tak się łamał z nieprzyjaznymi okolicznościami. Interessa były już mocno powikłane, procenta zjadały kapitał. W dodatku rok przyszedł mokry, zboże na pniu porosło, trzysta owiec padło: biedak głowę stracił. Matka i Borzycki podtrzymywali go nadzieją lepszej przyszłości; Lila, jak zwykle, o niczem wiedzieć nie chciała. Była też więcej jeszcze cierpka i wymagająca, aniżeli dawniej. Przechodziło nieraz do awantur, które zwykle Stanisław choroba przyplacał.

Minął rok; dzieci pod kierunkiem Haliny, która poświęciła się prawie ich wychowaniu, zmieniły się korzystnie.

Zapłaciwszy kilkakrotnie już rachunki Lili, Halina czuła się bezpieczniejszą. Jakkolwiek było to uczynione w formie pożyczki, Lilę jednakże kępowała. Nie miała też nie przeciwko temu, gdy Halina zabierała nieraz dzieci do Bielowiec; dawało jej to większą swobodę.

Sercowa jej sprawa z Borzyckim nie postąpiła ani na włos jeden od chwili, gdy sobie przysięgła, że Michał uledez jej musi; przeciwnie, on jeszcze więcej teraz trzymał się na uboczu i na żadne „sam na sam” złapać go nie mogła. Roznamiętniona, pochłonięta tą jedną myślą zdobycia go, przestała panować nad sobą i zdradzała się niejednokrotnie.

Kamieniecka to zauważyła, Stanisław niczego się nie domyślał. Od pewnego czasu Lila była trochę niezdrową i kapryśną do niemożliwości. Stanisław chwycił się nieraz za głowę i uciekał z domu, ale milczał, bo żonę musiał oszczędzać.

W ostatnich dniach Grudnia wraz z pierwszym śniegiem do Kamieniec, przybył gość malutki. Nie witał życia płaczem jak inne dzieci, i ledwo go się dotrzeć można było. Kamieniecka zachwiała się na nogach, gdy zobaczyła dziecko.

— Boże, Boże miłosierny — szeptała cicho, odwracając głowę od tego biedactwa, na którym już od kolebki boleść i smutek położyły niestarte piętno. Jak tu pokazać ojcu tego syna, którego przypuszczała, że pragnął i oczekiwał! Nie było jednak rady. Westchnęła do Boga gorąco i poszła do Stanisława.

— Więc mamy syna, mateczko? — rzekł rozpromieniony, gdy tylko pokazała się we drzwiach. Mimowoli duma ojcowska go uniosła. Zawsze to syn, spadkobierca nazwiska i chociaż majątku mieć nie będzie, to przecież on, ojciec pokierować przyszłością jego potrafi.

Matka ujęła obie ręce Stanisława i oczy łez pełne podniosła na niego.

— Drogi Stasiu, — zaczęła z trudnością. — Bóg niejednokrotnie zsyła na nas cierpienia, które my podjąć z uległością i poddaniem się winniśmy. Twój syn...

— Nie żyje? — przerwał Stanisław, zrywając się.

— Żyje. Może dla niego i dla nas, którzy na jego życie patrzeć będziemy, stokroć byłoby lepiej, aby był umarł — odparła. — Bóg inaczej postanowił. My tylko kochać to biedactwo musimy więcej jeszcze, niż inne dzieci, aby to życie, które, jak przykry ciężar, wlec będzie za sobą, miłością naszą mu osłodzić.

Stanisław pobał.

— Matko — pyta z bezmierną trwogą, — o czem ty mówisz? Przeczuwam coś strasznego...

— Bądź mężnym, mój drogi, — odparła ocierając łzy, których powstrzymać nie mogła. — Syn twój jest kaleką wprawdzie, ale mimo to możesz go wychować na człowieka i — trzeba wreszcie przyjąć to, co Bóg dał, bez szemrania. Lękam się o Lilę... — dodała szybko, wiedząc, że skierowawszy myśl jego na żonę, oderwie go od własnej boleści. — Jak ona to przyjmie? Ma trochę gorączki... Należy przygotować ją bardzo powoli i ostrożnie.

Trafnie odgadła. Wobec trwogi o żonę zapominał o dziecku.

— Możeby go nie pokazywać, pod pozorem, że słaby i lekarz zabronił? — mówi Stanisław rozgorączkowany, — przygotujemy ją tymczasem i po dniach kilkunastu, gdy zdrową będzie, łatwiej to znieść potrafi.

— Owszem. I ja tak myślałam — rzekła Kamieniecka uspokojona nieco. — Przyniosę ci teraz dziecko. Czy czujesz się dość silnym?

— Tak, matko! — odparł cicho, ale dreszcz nim wstrząsnął.

Kamieniecka wróciła po chwili.

— Tylko, mój Stasiu — prosi błagalnie, — nie przerażaj się i Bogu ten krzyż ofiaruj. Nie wiadomo jeszcze, jak on tem wszystkiem pokieruje.

Na batystowej poduszce spało dziecko. Żółta, jak pergamin, skóra powlekała nieforemną twarzyczkę o nieproporcjonalnie dużej głowie, pozłobioną nosa. Szpetna to była twarz, od której każdy z mimowolnym wstrętem odwrócić się musiał.

Stanisław, zobaczywszy syna, jęknął i zachwiał się.

— O matko, matko, jakież ja nieszczęśliwy! — zawołał z boleścią. — Co powie Lila?

— Trudno, mój drogi. Jest w tem może i jej winy trochę. Zawsze wzburzona, zirytowana, nie zwracała uwagi na swój stan. Do ostatniej chwili, wbrew wszelkim perswazyom, hołdowała modzie i gorsetom; i ta konna jazda, której zaraz w pierwszych miesiącach używała jak szalona, i to wszystko na dziecku odbiło się musiało.

Stanisław odebrał z rąk matki poduszkę i położył na swoim łóżku. Rozwiązał wstążki, odrzucił koronkowe ozdoby i już nie jęknął nad tem, co zobaczył. Zdawało mu się, że serce w nim zamarło, krew w żyłach stężała.

Dziecko miało pokręcone nóżki, cały kręgosłup pozostawiał też dużo do życzenia i nie trzeba było być lekarzem specjalistą, aby osądzić, że to kalectwo nie da się wyleczyć. Stanisław, milcząc, nakrył dziecinę i odwrócił się do matki. Śmiertelnie był blady.

— Niech mama będzie łaskawa zabrać go ztąd — rzekł, z trudnością chwytając oddech. — Brak mi sił, odpocząć muszę.

Rzucił się na sofę i rzewnie zapłakał. Matka czempredzej uniosła dziecko.

Przed Lilą ukryć tajemnicę do czasu nie było nie trudnego. Syn, który kępował ją przez kilka miesięcy i Borzyckiego, jak mniemała, odsuwał od niej, nie obudził w jej sercu tliwych macierzyńskich uczuć.

Gdy oznajmiono jej nareszcie kalectwo, wzruszyła obojętnie ramionami.

— To było do przewidzenia — rzekła. — Staś zdenerwowany, chory; nie mogło być inaczej. Ostatnie lata odbiły się na dziecku. Staś będzie miał naukę.

Kamieniecka, słysząc to, ledwo się pohamować mogła.

Dziwny miała zwyczaj Lila przeistaczania faktów i zrzućcia odpowiedzialności za swoje czyny na głowy innych.

— Proszę też mamy, aby dziecko miało osobną sypialnię, z mamką tylko — rzekła. — Czuję, że widok jego będzie dla mnie ustawiczną męczarnią. Niech-że go mam jaknajmniej!

Wściekłość nią miotła. Wstyd ją było Borzyckiego, wstyd ludzi, że urodziła takiego potworka, i znienawidziła biedactwo odrazu.

Stało się, jak chciała. Kamieniecka małemu Jurkowi przeznaczyła obok swej sypialni słoneczny, duży pokój i zaopiekowała się odepchnięciem dzieckiem troskliwie. Halina zaglądała też do niego bardzo często i wychodziła zawsze ze łzami.

Wandzia wszystkie wolne chwile spędzała w pokoju braciszka. Nie odstępowała jej brzydota jego ani kalectwo. Całowała często powykęcane chude nóżki, bawiła się z nim i widać było, że bardzo kocha opuszczonego przez matkę Jurka.

X.

— Pani jesteś winną wszystkiemu — mówi za-perzona Dolewska do siedzącej, z Jurkiem na rękach, matki Stanisława. — Małństwo ma już drugi rok, ale jest prawie brzydsze jeszcze, niż było. Pani jesteś winną — powtarza, głos podnosząc. — Pani kierowałaś tu wszystkiem, rządziłaś gospodarstwem, a obecnie rezultaty owego świetnego gospodarstwa spadły na moją wnuczkę i jej biedne dzieci.

Kamieniecka zadzwoniła gwałtownie.

— Zabierz dziecko — rzekła do wchodzącej mamki, zachrypłym głosem.

Mamka spojrzała na nią i zlekła się.

— Co to jaśnie pani? — pyta troskliwie.

— Nic, nic, moja Antoniowa. Zabierzcie dziecko i odejdźcie.

Mamka wyszła, Kamieniecka powstała z krzesła. Wyprostowana, trupio blada, stanęła nagle przed zaindyczoną Dolewską.

— Chcesz pani wiedzieć: kto jest winowajcą? — pyta, nie zdolna już panować nad sobą. — Chcesz wiedzieć? Ty, ty sama jesteś przyczyną wszystkich nieszczęść, jakie od lat tylu na Kamieniec spadają — ty i tylko ty!

Umilkła, bo głos z trudnością dobywał jej się ze zbolątej piersi i musiała przycisnąć ręką serce, które burzyło się niespokojnie.

Dolewska roześmiała się drwiąco.

— Czy to ja miałam klucze od kasy? — pyta złośliwie. — Czy ja sprzedawałam folwarki, wycinałam las, zapominając o tem, że majątek, którym rządę, należy do małoletnich wnucząt?

Kamieniecka schwyła ją za rękę.

— Milcz pani, milcz! — zawołała. — Mogę zapamięć o tem, że jesteś w moim domu i że ci winna gościnność.

— O! niech to pani nie kępuje — syknęła Dolewska. — Ja także jestem tu u siebie, bo to jest dom mej wnuczki, nie pani. I tak zawiele znośiłam od pani niegrzeczności, dla świętego spokoju, nie odpłacając ci taką samą monetą.

Lila stanęła we drzwiach.

— Co? Znowu kłótnia? A to zabawne! Szczególniejszą macie panie przyjemność, kłócić się...

— Tylko nie w liczbie mnogiej moja duszko, proszę cię — rzekła Dolewska. — Musiałam tylko przypomnieć pani Kamienieckiej, że to jest twój dom.

— Oczywiście. Ale o cóż znowu poszło? Staś będzie desperował...

Kamieniecka zwróciła się ku drzwiom. Nie miała siły przedłużyć tej sceny. Czula ostry ból w sercu, nogi jej zdrętwiały, lewa ręka była prawie bezwładna. Śmiech głośny wstrzymał ją.

— Nie dokończymy zajmującej rozmowy? — pyta Dolewska, śmiejąc się zjadliwie. — Bardzo wierzę...

— Owszem! — odparła Kamieniecka, stając powtórnie przed Dolewską. — Oprócz kilku słów, które

re powiedzieć jeszcze muszę, nigdy nie przemówię już do pani. Posłuchaj: wychowałaś źle córkę, i następstwem tego spaczono wychowanie była śmierć dwóch zacnych ludzi i moje sieroctwo. Wychowałaś potem źle wnuczkę, przez niepojętą, karygodną słabość pozwalając jej wyrośść, jak wyrosła. Ona to, a nie ja, za twoją pomocą i radą, zniszczyła majątek swoich dzieci, złamała moralnie i fizycznie mego jedynego syna, zatruta mi każdą chwilę jadłem i goryczą. Ja kosztłem życia broniliem tego kawałka ziemi, który od tylu pokoleń ojciec zostawiał synowi, a ona go nam wydarła! Nie mam żalu do ciebie, Lili — zwróciła się do synowej, która, z niepojętym zdumieniem, stała nieruchoma. — Nie mam żalu, bo coś ty winna, że nie wskazano ci tej prostej ścieżki, która każdego uczciwego człowieka prowadzi przez życie; tobie nie wskazano obowiązków żony i matki! O! sroga, ciężka odpowiedzialność spada na twą babkę, która smutnym przykładem nienauką, tak lekkomyślnie pokierowała przyszłością twoją. Gdyby nie ja, gdyby nie Halina, córki twoje tą samą byłyby poszły drogą. Ale Bóg czuwał! Mimo niechęci twojej i babki, mimo wpływów waszych, nader szkodliwych, dobre ziarenka, choć z początku na nieurodzajną glebę rzucane, przyjęły się — oby Bóg modłów moich wysłuchał, — dzieci twoje nie będą do ciebie podobne, Lili.

Umilkła zmęczona.

P. Dolewska, jak furja, skoczyła do Lili.

— Jak ty możesz pozwolić — krzyczała — jak możesz pozwolić znieważać babkę twoją i siebie? Czyś ogłuchła, Lili?

— Tylko bez scen, moja babciu — rzekła chłodno Lila. — Sama wiem, co mi uczynić należy.

Zwróciła się do Kamienieckiej.

— Racz pani pomyśleć o jakimś *locum* dla siebie — rzekła wyniośle. — Pod jednym dachem, po tem, com usłyszała, mieszkać nie możemy. Jeżeli ty nie ustąpisz, ja ustąpię. Dziś jeszcze pomówię z mężem. Dość już znosiłam! A teraz posłuchaj, pani, moich zarzutów. Odbierałaś mi systematycznie miłość dzieci, kradłaś zaufanie męża, kompromitowałaś mnie na każdym kroku. Miałas wiernego sprzymierzeńca w tej kwakierce, pozującej na świętą, co jej bynajmniej nie przeszkadza romansować z Rolskim. Gdyby posiadała choć odrobinę godności kobiecej, nie przyjmowałaby jego tyloletnich zalotów, skoro się z nią ożenić nie chce. Poznali się na niej wszyscy, i dlatego starą panną została. I taka osoba zajmuje się wychowaniem moich córek!... Ależ to oburzające! Nie pojmuję, doprawdy, jak mogłam na to pozwolić.

Umilkła wreszcie zirytowana.

Kamieniecka popatrzyła na nią długą chwilę i wyszła. Czuła się bardzo rozstrojoną i słabą i z trudem wielkim zawlokła się do swego pokoju. Ostatnie to zajście przepełniło już miarę goryczy, która od lat tylu zbierała się w sercu biednej kobiety.

Co teraz będzie? Co robi Lila? Stanisław nie zgodzi się nigdy na wypędzenie starej matki z rodzinnego gniazda, a ze strony Lili żadnych ustępstw spodziewać się nie można było.

Lila tymczasem wpadła dopokoju męża jak szalona. Babcia Dolewska nie odstępowała jej ani na chwilę, podsycając gniew roznamietnionej wnuczki, o ile tylko się dało.

— Musisz wybrać pomiędzy mną a matką — krzyczała Lila, nie pozwalając przyjść do słowa mężowi. — Dłużej trwać to wszystko nie może. Za wiele znosiłam! Dość tego! Matka twoja jest impertynentką, kobietą pozbawioną zdrowego sądu i wszelkich uczuć... Dziwię się samej sobie, że mogłam znosić dotąd napaści jej i dokuczania.

— Byłaś za dobrą, duszko — szepnęła babcia ze zjadliwym uśmiechem. — Ileż razy ci to powtarzałam! Masz nagrodę.

— To też powtarzam, że dziwię się, iż byłam tak łagodną i ustepliwą — rzekła Lila. — Nie powinienam była zgodzić się na to, aby taka swarliwa kobieta mieszkala z nami...

— Lili, proszę cię, ani słowa więcej — przemówił wreszcie Stanisław. Był tak oszołomiony, zdruzgotany, że ledwo mógł pojąć o co chodzi i czego chcą od niego. To mu tylko utkwiło

w mózgu, że jego żona w sposób obelżywy odzywa się o matce, na co on przecież pozwolić nie może.

— Żona pana jest u siebie i ma prawo mówić, kiedy jej się podoba — zadekretowała babcia Dolewska. — Jesteś pan bardzo złym i obojętnym mężem, a ja tu jestem od tego, abym krzywdy wnuczce mej robić nie dozwoliła. Proszę o tem pamiętać.

Lila wybuchnęła płaczem. Wściekłość, a nie boleść, łączyła ją z wywołaną. Ona by rada w jednej chwili pozbyć się znienawidzonej matki mężowskiej, a przeczuwa opór ze strony męża, i to ją roznamietnia więcej jeszcze.

Stanisława i żony poruszyły boleśnie. Gotów był prawie przeproszać ją, że odezwał się za szorstko, byle płacz jej ukoić.

— Powiedz-że, Lili, nareszcie co się stało? — rzekł, przysuwając się do żony i odejmując jej rękę od zapłakanej twarzy. — Nie chciałem zrobić ci przykrości; wiesz o tem chyba. Czy pogniwałyście się znów z matką? Jak mnie to boli, że dwie najukochańsze dla mnie na świecie istoty zgodzić się z sobą nie mogą... O cóż wam poszło?

— Pozwól, Lili, niech ja mu odpowiem — zabrała głos babcia. — Odpocznij nieco i uspokój się... Takie sceny z pewnością ci zaszkodzą.

— Panie Stanisławie — rzekła potem, podnosząc głowę wyniosłym ruchem rzymskiej niewiasty — ja ci parę słów prawdy powiedzieć choć raz w życiu muszę. I ja także zawiele i zadługo znosiłam. Żyć pod jednym dachem z twoją matką, która jest kobietą źle wychowaną, fałszywą i zarozumiałą, niepodobieństwem byłoby dla każdego, kto-by do tego był zmuszonym. Lila atoli odebrała zbyt staranne wychowanie, aby nie umiała ulegać, a ja — milczałam, nie chcąc być powodem niesnasek w domu. Ale miara się przepełniła. Rozzuchwalona pobłażliwością naszą, pani Kamieniecka obeszła się z twoją żoną tak nieludzko, że pod jednym dachem już-by teraz obiedwie mieszkać nie mogły. Lila miała słuszne prawo powiedzieć ci przed chwilą: „wybieraj.“ Istotnie, musisz wybrać, i to natychmiast. Takie kwestye nadto są bolesne, aby je odkładać można na później. Lila albo matka twoja tu zostanie panie Stanisławie, decyduj, proszę!...

Złość w niej kipiała i ostatnie słowa wybiegły z gardła przyduszone, zachrypłe. Ach, gdyby jednej chwili już skończyć z tą znienawidzoną nieprzyjaciółką swoją i napawać się tryumfem zwycięstwa!

Stanisław zbladł okropnie. Kilkakrotnie w ciągu paplania pani Dolewskiej chciał otworzyć usta, aby zamilkły te, które znieważały jego matkę: brakło mu siły.

Wpadły na niego i żona i babka tak niespodziewanie i — odrazu, nim mógł pojąć, o co im chodzi, zaczęło się od wybuchu. A on dziś właśnie czuł się niezdrowym, bolała go mocno głowa i dokuczały mu nerwy. Z ciężkim westchnieniem odwrócił się do żony.

— Nie poczytuj tego za niegrzeczność — rzekł — gdy cię poproszę, abys spór wynikły między tobą a moją matką rozstrzygnęła sama, ze mną tylko. Wmieszanie się osób trzecich uważam za zbyteczne i bardzo dla mnie dotkliwie. Oszczędź mi tego, proszę cię, Lili! Porozmawiamy, gdy babka twoja zechce nas opuścić. Czy zgadzasz się?

Ale p. Dolewska nie pozwoliła odpowiedzieć wnuczce. Poskoczyła do Stanisława z taką pasją, że się mimowolnie cofnął.

— Więc to tak? — krzyknęła. — Do tego już doszło, że żonie swojej milczeć każesz, a mnie wyrzucasz za drzwi? Niegodziwy, niepojęciwy jesteś, panie Stanisławie, i hrabia Zenon miał rację litować się nad Lila. „Pani Kamieniecka uprzyjemni życie nielubionej synowej“ — mówił zawsze i sprawdziło się!...

Stanisław schwył żonę za rękę.

— Czy istotnie pozwoliłaś mu mieszać się do naszych spraw rodzinnych, Lili? — zapytał drżącym z oburzenia głosem.

— Nie mogę przecież zamknąć ust nikomu — odparła niedbale. — Miał rację zresztą... Czy przypuszczasz, że ludzie są ślepi i nie widzą tego, co się tu dzieje? Nie umiesz wywalczyć żonie na-

leżnego jej w domu twoim stanowiska, oddałaś władzę matce, zrzekłaś się dla niej wszystkiego...

— Z krzywdą rodzonych dzieci — dorzuciła Dolewska zjadliwie. — Czuli ojciec!...

Stanisław schwył się za głowę. Trudno mu było pojąć, czego chcą od niego. Krzyczy Dolewska, krzyczy Lila... coś mu zarzucają, ale z tego wszystkiego powstał taki chaos... Ach! gdyby tak można pozbyć się Dolewskiej! Prędzej-by mógł z Lila dojść do jakiegoś porozumienia.

Zwrócił się raz jeszcze do żony.

— Proszę cię, Lili, odłóżmy tę rozmowę na później... Ty się uspokoisz... Załatwimy wszystko, jak będzie można najlepiej.

— Nie ma potrzeby odkładać — odparła Lila z uporem. — Jeżeli matka nie opuści twego domu, ja wyjeżdżam. Babcia, oczywiście, pojedzie ze mną. Poza tem nie mamy nic do mówienia.

Skinęła na babkę i wyszła z pokoju, nie spojrzawszy nawet na męża.

Stanisław pozostał sam. Teraz dopiero, gdy ciśsza zapanowała wokoło, mógł nieco zebrać myśli i zastanowić się... Więc on ma wybierać? pomiędzy matką, którą czei niemal, i żoną, którą kocha, ślepą jakąś bezrozumną miłością, bo przecież widzi jej wady? Dawno już pozostał się ze złudzeniem, że ta przepiękna jego żonka da się przerobić. Nie od dzisiaj wie, że tylko bogactwem swej urody wynagradza mu ubóstwo ducha, a mimo to, całe skarby uczuć, całą treść życia swego oddał tej miłości i z jej pęt wyzwolić się nie może. Ileż razy chciał je zerwać! Ile razy przysięgał sobie, że zdobędzie się na tyle woli, aby kaprysom lekkomyślnej istoty nie ulegać i zmienić fałszywy kierunek, jaki słabość jego dla żony życiu tyłu istot nadała! Naprawdę! Lila z pomocą tysiącznych kobiecych wybiegów wygrywała zawsze sprawę, i wszystko szło podawnemu.

Ale teraz stała się rzecz okropna! Kazano mu wybierać pomiędzy dwiema istotami, dla których w każdej chwili życie oddać gotów. Matki za nie nie poświęci, a co wówczas zrobi Lila? Jej anioł stróż w postaci babci Dolewskiej nie pozwoli zgodnie sporu załatwić. Co począć?

XI.

Ranek zastał go jeszcze pogrążonego w myślach, złamanego, zmęczonego i biernie wyczekującego dalszego biegu wypadków.

Wejście Borzyckiego, który codziennie zrana po dyspozycję do dziedzica przychodził, rozrzucało trochę Stanisława. Z konieczności myśli zwrócić się musiała gdzieindziej.

— No, i co tam, panie Michale? — pyta, przyglądając się bacznie Borzykiemu. Stał on właśnie przy oknie, w blasku pełnych słonecznych promieni i błada, mizerna jego twarz uderzyła Stanisława. — Kiepsko pan wyglądasz — dodał też zaraz. — Za wiele pracujesz...

— Praca była mi dotąd lekiem na wszelkie bóle — odparł, uśmiechając się smutno Borzycki. Usunął się od okna, nie dość szybko jednak, aby Stanisław nie zauważył śladów bezsennej nocy i jakiejś tajemniczej walki, która się brzdami zapisała na młodem czole.

— Chory jesteś, panie Michale — rzekł, ujmując serdecznie dłoń Borzyckiego. — Potrzeba ci odpoczynku, trochę rozrywki... Że też ja nie zwróciłem dotąd uwagi, że mizerniejsz i szcuplejsz tak gwałtownie. Bardzo mi przykro...

Michał spuścił oczy. Jak najcięższa obelga zabolala go życzliwość Kamienieckiego. Na jego sercu spoczywało kilka zwiędłych listków opadłych z bukietu Lili, myśl jego goniła za nią bezustannie: i jakże mógł spojrzeć, teraz w oczy Stanisława i przyjmować dowody jego przyjaźni?

— Zdrow jestem zupełnie, szanowny panie — rzekł nareszcie, mocując się z sobą, aby się okazać spokojnym. — Żniwo dziś skończymy. Żyto wyrosło wspaniale, ale licho sypie. Omlot będzie kiepski...

Stanisław spochmurniał.

— To niedobrze — mruknął. — Fatalny rok! — Pszenica porosła, żyto nie dopisało, a i z sianem nie lepiej stoimy... Ha! Cóż robić! Powiedz-że

mi, kochany panie Michale, jak to będzie z tym długiem Bańskiego? Czy koniecznie opiera się przy terminie?

— Oczywiście. To jeden z najniecierpliwszych wierzycieli. Z Bogiem wciąż na języku a krewby wysłał z każdego.

Michał ochłonął już nieco i groza materialnego położenia Kamienieckich o wszystkim innym kazała mu zapomnieć.

— Więc trzeba mu coś dać *a conto*—zadecydował Stanisław.—Jakieś kilka tysięcy rubli... Nieprawdaż?—A po chwili dodał:

— Trzeba chyba te cztery włoki lasu, sprzedane Moszkowi, poświęcić. Odebrałeś już pan wszystko od niego?

Michał drgnął.

— Odebrałem—szepnął z wahaniem,—ale...

— Niema żadnego „ale“, mój drogi—dokończył Stanisław żywo.—Wiem, co mi chcesz powiedzieć... Masz tam pewno gospodarskie jakieś wydatki na myśli... Chciałbyś je pokryć. Pojmuję to; Bański wszakże musi być załatwiony przed wszystkimi. Proszę cię, zrób to zaraz.

Teraz już Michał musiał powiedzieć prawdę.

— Pani wczoraj wieczorem zabrała wszystkie pieniądze z kasy—rzekł, podnosząc na Stanisława oczy, z głębokim smutkiem.—Miałem 2.500 rs. Pani pisała, że nagle potrzebuje, a miałem dyspozycją nie opierać się żądaniu pani...

— Aaa!...—Stanisław mocno pobałdł.—Tak. Dobrześ pan zrobił—rzekł z wolna.—Żona moja czekać nie lubi... Tylko...

Język mu się splątał... ostatnia wiadomość dobiła go.

— Nie wiem, doprawdy, co zrobimy teraz z Bańskim—rzekł wreszcie, trąc dłonią czoło.—Więc mówisz pan, że wczoraj dopiero wzięła żona moja te pieniądze?

— Tak, panie. Gdy wróciłem z pola, zastałem kartkę pani na biurku.

Stanisław swobodniej nieco odetchnął.

— Pomówię z żoną niebawem—rzekł nieco uspokojony.—Nie miała dotąd czasu rozporządzić niemi... Gdy zrozumie potrzebę oddania ich Bańskiemu, zwróci je bez wahania.

Zapomniał już o obecności Michała i rozmawiał głośno ze swymi myślami, usiłując nitkę nadziei w kłopotliwym położeniu uchwycić.

Michał wysunął się z pokoju niepostrzeżenie i na kurytarzu spotkał się z Lilią. Miała na sobie elegancki podróżny kostium, stuk zamykanych kufrów dochodził z jej pokoiów.

— Czy pan wraca od męża?—spytała, odpowiadając lekkim skinieniem głowy, na głęboki ukłon Borzyckiego.—Czy mąż już wstał?

— Tak pani—odparł, zaniepokojony jej widokiem. Chciał odejść, uciec od niej jak najprędzej, bo czuł, że braknie mu siły do oderwania oczu od tej promiennej postaci, od tych cudnych, ciemnych jak otchłań, źrenic, które gorącymi blaskami obrzucały twarz jego. Lila przysunęła się do niego blisko, bardzo blisko...

— Wyjeżdżam, panie Michale—szepnęła cicho.—Wyjeżdżam, może na długo... Czy odwiedzi nas pan w Krakowie? Poproszę męża, abyś pan zawsze dowoził mi pieniądze. Podaj mi pan rękę i powiedzmy sobie: „do widzenia...“

Jak słodko zabrzmiało mu w uszach ostatnie jej słówko! Złagodziło ból, którą uczuł na myśl o rozstaniu. Odurzyło go to spotkanie; wyjazd jej niespodziewany, poprzednia ze Stanisławem rozmowa; wszystko to wytworzyło chaos w jego myślach i uczyniło go bezbronny. Zapomniał się, i ręka jego bezwiednie poszukała maleńkiej rączki, która bardzo szybko znalazła się w jego dłoni. I stało się z nim coś dziwnego. Cała siła woli prysnęła przy dotknięciu miękkiego, jak atlas, ciała ukochanej kobiety; gorąca krew napływała mu do serca, do mózgu. A ona, drżąca, wzruszona, obezwładniona siłą jego wzroku, stała cichutko i pieściła go aksamitnym spojrzeniem.

Biedny Michał czuł się już wyczerpanym walką, jaką z samym sobą toczył oddawna; uparcie hamowana namiętność, rosła i potęgiała bardziej jeszcze wobec pęty, jakie uczciwy charakter młodzieńca nałożył na nią dobrowolnie.

I teraz oto cały gmach, tak mozolnie budowany, chylił się do upadku. Wola słabnie i ogarnia go szalona chęć rzucić jej raz jeden jedyny, to wszechpotężne słowo, które mu piers rozpiera, a potem... potem uciec od niej, cierpieć zdala, cierpieć życie całe, by okupić tę jedną rajską w życiu chwilę.

Szelest jakiś spłoszył upojenie. Oprzytomniał. Błada twarz Stanisława zakryła mu śliczne oblicze Lili. Szarpnął rękę gwałtownie i wyswobodził z delikatnie opasujących ją paluszków. Nie patrząc na Lilię, nie pożegnawszy jej ani jednym słówkiem, odszedł powoli i nie widział wcale, z jakim gorączkowym natężeniem patrzyły za nim szafirowe oczy Lorci, która za grupą krzewów ukryta, świadkiem była całej tej sceny.

Lila, wręcz ochłonięła ze wzruszenia. Może i rada była, że się tak stało! Słowo niedomówione posiada jeszcze czar nowości; tajemnica dwóch serc jest jeszcze słodsza... A teraz wie już, że Michał ją kocha... Prędzej, później, zawładnie nim zupełnie. Zadowolona i, jak zwykle, chłodna, zjawiała się po chwili w pokoju Stanisława.

— Przyszedł cię pożegnać, Stasiu—rzekła, kładąc rękę na ramieniu męża.—Rezultat naszej sprzeczki z góry jest przewidziany. Nie zgodzisz się, aby matka dom nasz opuściła a ja—także nie czuję się zdolną do ustępstw. Tylko bez scen, mój drogi—dodała szybko, widząc, że rozgorączkowany zamierza jej przerwać.—Jadę i rzecz skończona. Zabieram z sobą babcię i Lorę i zamieszkam w Krakowie. Będzie to nawet pretext do uniknięcia skandalu. Powiesz ciekawym, że pojechałam dla dokończenia edukacji Lorci, która dorasta... Powód chyba dostateczny, aby odebrać ludziom ochotę do dyskusji w tym przedmiocie.

Umilkła wreszcie, Stanisław z bezdennym żalem patrzył na nią.

— W ciężkiej chwili opuścić chcesz męża, Lili moja—odezwał się stłumionym głosem.—Nie sądziłem, nie przypuszczałem nigdy...

Brakło mu słów jakąś się... ręce mu drżały.

— Nie przypuszczałaś, abym potrafiła otrząsnąć się i uciec od tych rozkoszy, które od kilku lat towarzyszą mi nieprzerwanie?—rzekła z ironicznym uśmiechem. O Stasiu, ty nie wiesz, ilem wycierpiała!

Udała rozrzewnioną; Stanisław ręce do niej wyciągnął.

— Lili, najdroższa moja—szepnął tklawie z błyskiem nadziei w oczach.—Bądź dobrą, bądź sprawiedliwą i wyrozumiałą: a będziemy znowu szczęśliwi, jak dawniej...

Zapomniał biedak, ile cierpiał z jej powodu.

— Jestem aż nadto wyrozumiałą i sprawiedliwą—odparła, strojąc twarz miłym uśmiechem,—nie mogę jednak wytrzymać dłużej. Wierz mi, Stasiu, że tak będzie lepiej. Możemy przecież widywać się, ile razy zechcesz odwiedzić nas w Krakowie, a później, gdy Lorcia przestanie się uczyć... po co zresztą sięgać w przyszłość, kiedy nie wiemy co i jak zmienić się jeszcze może? Kochać się wzajemnie będziemy mimo wszystko, i rozłączenie żadnej zmiany w naszych uczuciach sprowadzić nie może. Wszak prawda, Stasiu?

Pogłaskała go pieszczotliwie po bladej twarzy i przytuliła się lekko do piersi męża.

— Nie bądź taki smutny, Stasiu—szepnęła.—Nie rozstajemy się przecież na zawsze...

Stanisław pochylił się ku niej i zajął jej w oczy głęboko.

— A gdybym... gdybym cię bardzo prosił, abyś nie odjeżdżała teraz, Lili—rzekł błagalnie.—Czy wysłuchałabyś prośby męża? Nie jestem zdrów... Od pewnego czasu nerwy moje tak się buntują, że nieograniczenie panują nademną. Dawne symptomy wracają... Ciężką mi będzie nieobecność twoja. Nie umiem nawet pomyśleć o tem, co-bym tu począł bez ciebie. Zostań, Lili. Błagam cię

Zawsze tak bywało niestety! Prosił—kiedy powinien był stanowczo oprzeć się jej kaprysom i nie pozwolić, aby opuszczała dom i rodzinę. Miał pełne prawo przemówić do niej w imię obojga jakiegoś przyjeżdża na siebie zostając żoną i matką... Lękał się jednak, jej gniewu... lękał się też, na które obojętnie patrzeć nie mógł, Lilię

znieczepili już jego prośby; chciała scenę pożegnania skrócić, o ile się tylko da, bez obudzenia podejrzeń, i wyjechać jak najprędzej.

— Nie mogę zgodzić się na zmianę moich projektów, Stasiu—rzekła stanowczo.—Idzie tu zarówno o moje zdrowie, jak i o godność osobistą. Ublizać sobie bezkarnie nie pozwolę, a rozłączać cię z matką nie mam prawa. Najlepiej, gdy wam ustąpię. Nie od dziś czuję, że jestem wam obcą i obejść się bezemnie potraficie z łatwością. Patriarchalna zgoda i miłość zapanują między mieszkańcami Kamieniec, jak to za lat dawnych bywało—uśmiechnęła się ironicznie.—Wyznaję szczerze, że ja nie umiem żyć tak, jak wy żyjecie; wszystko mnie gniewa, nudzi... drażni... Pozwól mi, Stasiu, odetchnąć innem powietrzem, żyć pełnem życiem jeszcze lat kilka, póki wiek nie zgasi pragnień i nie obudzi chęci spoczynku: wszak byłam dotąd dobrą i kochającą żoną, Stasiu, i—wzierną—dodała ciszej.—Możesz mi zaufać, jak powinienś wierzyć, że mimo tego, co wyrzekłam przed chwilą, gdyby nie matka twoja i nieszlachetne postępowanie jej ze mną, pozostałabym przy tobie zawsze i wyrzekła się marzeń nawet o zmianie trybu życia, jakie tu prowadzimy. Kocham cię—wiesz o tem chyba.

Ach! więc usłyszał nareszcie to, czego w ciągu tylu lat pożądał! Prześliczne usta wymówiły rozkoszne słówko bez wahania. Jakiż on szczęśliwy!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dyalog Napoleona I-go o miłości.

Ani współcześni, ani potomni nie zauważyli, że Napoleon—wielki Napoleon, jest autorem małego dyalogu o miłości. Człowiek, co świat przeorywał i przewracał, miał też dla świata wyłącznie znaczenie siły twórczej i niszczącej w dziejach politycznych; nawet skrzętni zbieracze pominęli jego spuściznę literacką, a tem łatwiej pominąć mogli, że jest ona szczupłą i wogóle niewybitną. Dopiero przed miesiącem w *Revue de Paris* p. Fryderyk Masson ogłosił zapomnianą rozprawkę.

Dyalog o miłości napisał Bonaparte w r. 1791, stojąc garnizonem w Valence, kiedy był dopiero porucznikiem artylerii i miał 22 lata. Dla jego życia i kierunku jest on charakterystyczny. Widać, że do owego czasu Bonaparte nigdy sam jeszcze nie kochał, a między ludźmi innej miłości nie pojmował, prócz wprawiającej w szal. Miał sam taką miłość wkrótce poznać, gdy go stosunki towarzyskie zbliżyły do Jozefiny Beauharnais; ale tymczasem stał dwudziestodwuletni młodzieniec na stanowisku wrogiem wszelkim trwałym i ciągłym wzruszeniom serca, z jakich młodość wysnuwa złote, błogosławione lub przeklęte, pasma swych namiętności i uczuć, szaków i ideałów.

Taki duch wrogi panuje w całym dyalogu. Bonaparte uważał dla mężczyzny miłość, jako zajęcie się daną kobietą, za coś szkodliwego, z ludzkiego i z obywatelskiego punktu widzenia zarówno zasługującego na potępienie. Tu już czuć człowieka, który małych ścieżynek indywidualnego szczęścia wydeptywać sobie w życiu nie będzie. Przez jego wstręt prześwituje i jego energia i jego męzka ambicja, mówiąca: męczyzna jest dla świata, kobieta...

Obronę zagrożonej pozycji powierza Bonaparte w dyalogu swemu niegdyś kolledze ze szkoły wojskowej, a wówczas jeszcze przyjacielowi, Des Mazis. Jest on żywym przeciwieństwem przyszłego władcy Francji: sławi miłość, jakby najwyższe na świecie uczucie, i jest najniewątliwiej zakochanym. Musiał mu w toku rozmowy Bonaparte rzucić wgardliwe dla niej słowo: Cóż tam ta wasza miłość?—bo *Des Mazis* odpowiada pytaniem:

— Jakto? Więc nie wiesz co miłość? Alboś stworzony inaczej, niż reszta ludzi?

Bonaparte. Nie żądam definicji miłości. Kochałem już w życiu (zmyślał) i z tego kochania zostało mi dość wspomnień, abym mógł obyć się bez tych metafizycznych definicji, które tylko rzecz gmatwiają. Nie przeczę istnienia miłości i cowiec jeszcze: twierdzą, że jest szkodliwa dla społeczeństwa, szkodliwa nawet dla indywidualnego szczęścia. Miłość sprawia więcej złego, niż myślimy. Prawdziwem byłoby dobrodziejstwem, dziełem jakiegoś bóstwa opiekuńczego, gdyby ludzie pozbyć się jej i świat od niej uwolnić mogli.

Des Mazis. Jakto? Miłość szkodliwa! Ona, żywicielka całej natury! Ona, to źródło wszelkiego szczęścia i wszelkiego bytu! Lepiej już od razu przestać istnieć.

Bonaparte. Tylko spokojnie. Namietność cię unosi. Masz tu przed sobą swego przyjaciela. Nie patrz na mnie z oburzeniem i odpowiadaj. Od czasu, kiedy cię namietność ta opanowała, dlaczego stronisz od naszego towarzystwa? Co się stało z twoimi zajęciami obywatelskimi? Dlaczego zaniedbujesz rodziców i przyjaciół? Dnie całe spędzasz na samotnych przechadzkach, i myślisz tylko o tej godzinie, w której będziesz mógł już swoją Adelaidę zobaczyć.

Des Mazis. Eh, co mi tam wasze zajęcia, obowiązki, towarzystwa! Co mi przyjdzie z waszej nieprzetrawionej nauki, na co mi się przyda to, co się działo przed tysiącem lat? Jakiż mogę mieć wpływ na ruchy gwiazd? Co mnie obchodzi drobnotki, o które spierają się ludzie, jak żaki? Przyznaję, że się nimi nie zajmowałem: nie miałem nic lepszego do roboty. Musiałem się opędywać nudom, które mnie opadały; ale w gabinecie swoim, przy pracy, czulem w głębi serca pustkę. Doznawałem czasem zadowolenia umysłu, ale uczucia — nigdy! Wegetowałem tylko, dopóki nie pokochałem. Dziś, gdy mnie jutrenka ze snu wyrwa, nie potrzebuję się już pytać: „Po co to słońce świeci dziś dla mnie?” Nie, pierwszy promień światła już mi ukazuje ukochaną moją.... Widzę ją, jak myśli o mnie, jak się do mnie uśmiecha.

Bonaparte. Prawdziwie, śmiać mi się chce z tych wielkich spraw, które duszę twą zaprzątają, z tego ognia, z jakim to wszystko mówisz. Istna, a jakże dziwna choroba! Wiem dobrze, iż rozum, jaki-bym ci rad na pomoc przywołać, niczego nie dokáže. W tej gorączce, którą płoniesz, zamało ci jeszcze będzie zatkać uszy na jego głos: ty go wzgardą okryjesz. Nie roztrząsam tutaj: czy przyjemności twoje godne są człowieka, ani też, czy wogóle są przyjemnościami. Wierzę z góry, że ta połowa rodzaju ludzkiego, której siła sama oddaje królowanie nad światem, za najwyższe uważa sobie szczęście omdlewanie w więzach rozmiękczonego uczucia i pod prawem istoty słabszej zarówno rozumem, jak ciałem. Wierzę i w to, że myśl o twojej Adelaidzie, obraz jej, rozmowa z nią mogą cię wynagradzać za utracone przyjemności prac obywatelskich i zaniedbywanego towarzystwa. Ale, powiedz prawdę, czy ty sam nie pragniesz, aby te, w taki sposób odbierane przyjemności raz się nareszcie skończyły, czy nienasycona twoja imaginacja nie sięga po to, czego cnota Adelaidy odmówić ci musi? Żimny mój spokój nie znajdzie w sobie farb zdolnych odmalować całe to brzemie męki, jakiej doznaje kochanek w ciasnym świecie, który byt jego krępuje. Ale, kawalerze, rozejrzyj się tylko dobrze w położeniu. Gdyby potrzeba było zagrożonej ojczyzny bronić, co byś zrobił? Gdyby... ale na co ty się już światu przydać możesz? Czyliż szczęście bliźnich powierzy kto dzieciakowi rozmazgajonemu, placącemu bez przestanku, doznającemu obaw i uniesień na jedno tylko drgnięcie jakiejś ludzkiej istoty? Czy powierzy kto tajemnicę stanu człowiekowi własnej woli niemającemu?

Des Mazis. Ciągłe wielkie słowa, bez myśli! Co mi tam wasze państwa, wasze stany, tajemnice! Nie pojmuję cię dzisiaj. Nigdyś jeszcze tak lichu nie porozumowałem.

Bonaparte. Ach, kawalerze, na co ci państwo, współobywatele, społeczeństwo! Oto są skutki rozpasania serca, wydania go jedynie na rozkosz.

Ani siły, ani cnoty. Gdzie się podziało to dobro, którego pełnienie było twoją ambicją? Dziś wszystko ci obojętne. A jakież jest to uczucie, które się usadowiło na miejscu przeznaczonym dla cnoty i czynnej jej miłości? Teraz już nie marzysz o niczym więcej jeno o tem, jakby żyć w cień swych topoli. Głęboka filozofia! Ach, kawalerze, jakże nienawidzę tej namietności, która tak wielką wywołała metamorfozę!

Zobojętniałeś dla wszystkiego, a nie czujesz, jak się staczasz w przepaść egoizmu. Opinia ludzka, szacunek przyjaciół, miłość dla rodziców — nie, nie cię już nie zajmuje. Wszystko poszło na łup tyrań, silnego twą niemocą. Jedno spojrzenie, uścisk ręki, pocałunek — a potem niech dyabli biorą ojczyznę i przyjaciół!... Przyznaję, miłość ma rozkosze niezrównane, męki może jeszcze większe, ale zastanówmy się tylko nad wpływem jej społecznym. Przyznaję i to, że jak dziś rzeczy stoją, dusza ludzka, z rodu swego niepodległa, musi być niejako krępowana, strącana z wyżyn swoich przez instytucje; że każdy człowiek rodzi się do szczęścia i to szczęście jest najwyższem prawem natury w głębi jestestwa naszego wyrytem. Na tej podstawie opierają się zasady naszego postępowania. Każdy sam obiera sobie to, co mu do upodobania przypada, może rozporządzać i ciałem swoim i uczuciami; ale ten stan niepodległości wręcz sprzeciwia się stanowi niewoli, w jakim nas trzymać musi społeczeństwo. Zmiana stanu musiała za sobą pociągnąć i zmianę usposobienia: wrzawa przesądów głośny krzyk naszego uczucia. Taka jest podstawa wszystkich instytucji społecznych. Trzeba było wziąć człowieka od powikłaków ażeby, o ile się da, urobić go w inną istotę.

Czy myślisz, że bez takiego przeistoczenia takie wielkie masy ludzi znosiłyby cierpliwie znikczemnianie siebie przez małą garstkę wielkich panów, a wspaniałe pałace ostałyby się wobec ludzi chleba kawałka niemających, by go do ust włożyć? Siła jest prawem zwierząt; umowa — prawem ludzi. Czy to dla odparcia napaści dzikich bestyi, czy dla uwolnienia się od potrzeby ciągłej walki, umówiono się, że będzie prawo własności, i wszyscy poręczyli każdemu posiadanie pola, które uprawiał. Z początku umowa taka obowiązywała niewielką tylko liczbę ludzi. Potrzebowano urzędników, którzyby nad wykonaniem jej czuwali i odpierali napady sąsiednich pokoleń. Urzędnicy ci poczęli rozkosze rozkazywania, ale najskwapliwsi z ludu oparli się zapewnieniu ich raznawazsze danym jednostkom. Cóż się stało? Opornych przekupiono i przypuszczono do ambitnych widoków. Lud ujarzmiony, nierówność wielkim krokiem się rozpościera, klasa rządzących oddziela się od rządzonych. Przeszła religia pocieszała nieszczęśliwych... przysła, aby ich na zawsze skrępować. Głos sumienia odtąd nie miał być już w stosunkach ludzkich przewodnim. Nie, obawiano się, aby uczucie tłumione jednakże nie wydobyło się na wierzch.... I tak Bóg zaczął świat prowadzić. Wszystko działo się z Jego woli. Bóg nadał prawa pisane, i zaczęło się panowanie... które będzie bez końca.

Człowiek zatem spadł na niższy szczebel (przez uspołecznienie), ale niepodobna niezgodzić się na to, że stan życia społeczeństwa jest stanem prawowitym. Mileczenie ludzi stanowi tu mileczące uznanie, którego nie nie wzruszy. Ty oto masz lat dwadzieścia; wybieraj: wyrzecz się swej rangi, majątku, i rzuć świat, którego nienawidzisz; albo też, jeśli się zaciągniesz na liczbę obywateli, poddaj się światu tego prawom. Ciągniesz z kontraktu korzyści; miałbyś niedorzeczność innych jego punktów? Gdybym wątpił o tem, czy dostrzymasz, przestałbym cię uważać za uczciwego człowieka. Powinieneś zatem mieć przywiązanie do tego państwa, które ci zapewnia tyle pomyślności i, korzystając z dobrodziejstw umowy, dążyć do uszczęśliwienia ludu, nad który się wzbijasz, i przyczyniać się do dobra społeczeństwa, które cię wyróżniło nad innych.

Wreszcie ostatnie jeszcze zakłęcie: ta dusza tak gorąca, to serce niegdyś tak dumne, miałyby się zamknąć zupełnie w obrębie dążeń tak maluczkich? Ty, u nóg kobiety! Niech raczej źli zartwożeni u stóp twoich się włóczą! Ty, gardzący

niedola ludzką! Uczucie honoru — powiesz: w moc swoje raczej je podbij.

Des Mazis. Nie rozumiem cię, nie pojmuję i dlaczego miłość moja miałaby burzyć plan, któryś tutaj nakreślił? Jakie ty pojęcie masz o Adelaidzie? Jestże cnotliwsza od niej kobieta, gdy idzie o spełnienie obowiązku, wsparcie nieszczęśliwych, gdy cnota sama domaga się miłości ojczyzny, bliźnich, społeczeństwa? Czy sądzisz, że i ja dobro pełniłem z chłodem kamiennym filozofa? Gdy wola Adelaidy będzie pobudką mych czynów — słodka rozkosz!... w nagrodę... nie, panie, tyś nigdy nie był zakochanym!

Bonaparte. Nad błędem twoim ubolewam. Jak to myślisz, kawalerze, naprawdę, że droga miłości jest drogą cnoty? Na każdym kroku jesteś jakby przylepiony. Od czasu, gdy ta namietność fatalna zakłóciła twój spokój, powiedz, nie pomyślałeś nawet o innem zużytkowaniu swych sił, prócz tego, jakie umożliwia miłość? Złe i dobre zależy w tobie już tylko od symptomatów tej namietności. Ale, co mówię? ty i namietność twoja stanowiąc jedną istotę. Dopóki ono trwać będzie, działać będziecie i wy tylko dla niej, a ponieważ powiedziałeś sobie, że obowiązkiem człowieka bogatego jest robić dobrze, wyrwać z niedoli tych nieszczęśliwych, którzy w niej jęczą, że obowiązki człowieka dobrze urodzonego nakazują mu wziętością swego imienia rozbić zamachy złości ludzkiej, że znowu obowiązki obywatela polegają na bronienu ojczyzny i przykładaniu się do jej pomyślności: czyliż nie przyznasz także, iż obowiązki dobrego syna zasadzają się na uznaniu swym w ojcu powinności starannego wychowania, w swej matce... nie, kawalerze, gdybym potrzebował dowodzić cię prawd tak oczywistych, wołałbym raczej milczeć.

Na tem kończy się rozmowa. Ciekawe w niej pojęcia o powstawaniu uspołeczeńień ludzkich, noszą na sobie znamiona epoki, w której się przejawiały, ale rosły one w gruncie własnego głębokiego przekonania, rozwinęły się z tej trzeźwości, nieraz przerażającej, z jaką późniejszy Napoleon organizował, rządził i panował. Dla biografa psychologa mały drobiazg ten, wydobyty teraz z zapomnienia, ma znaczenie większe, niż odgrzebanego zabytku literackiego po osobistości, która trzęsła narodami. W tych zwierzeniach, odbijających może istotne rozmowy, rysuje się już wyraźnie forma przyszłego człowieka dziejowego.

Jak kochał kawaler de Mazis, tak kochało wielu przed nim i po nim i wielu jeszcze kochać będzie, póki życia na ziemi. Czy słusznie Bonaparte miłość taką, pożerającą, potępiał? Jest wiele prawdy w tem, co mówi, tylko tę prawdę zwrócić potrzeba na pewne rodzaje uczuć, stany duszy, indywidualności ludzkie. Tysiące mra, nie zaznawszy nigdy ani ponurej, w otebrań pograżającej, męki, ani ognia, trawiącego całą istotę, ani marzenia, rozszerzającego pierś, tak, iżby świat cały w siebie wchłonią mogła, ani niedoli a raczej rozkoszy tęsknot — bo w tym czarodziejstwie wszystko się ostatecznie w rozkosz przetwarza — ani wreszcie tego jakby zaprzeczenia w niewolę, jakiego się miłość istotnie względem człowieka dopuszcza. Są istoty do uczuć ekstazy nie zdolne, są ich niegodne, a jakim kto jest, takim i miłość jego będzie. W sferach filisterskich, konwencyonalnych i arystrykatycznych — miłość rzetelna jest egzotycznym kwiatem. Tam tylko rwać ją można jak kwiat na łące, gdzie obyczaj, rachuba, interes — nie krępują młodości. Natury zapalne, gorące wytwarzają sobie osobne światy z miłości, przenosząc się do nich, w nich żyją i są szczęśliwe. Jest to znamieniem dla tego najpowszechniejszego i najpotężniejszego na świecie uczucia, że się wyodrębnia z całości świata, opręduje się jak owad i zamyka w sobie. Jeśli jest olbrzymem — czarodziejem, wznosi sobie wspaniałe zamki w dzikiej w rozkosznej, ale zawsze odludnej okolicy; jeśli jest łagodnym i cichym, poprzestaje na ustronnej chatce: ale zawsze chce być samem w sobie, przez siebie i ze sobą, aby, tak wydzieliwszy się z bytu ogólnego, lepiej się zindywidualizować, rozwinąć, spotęgnić i przez to lepiej dusze szładować.

Rzecz prosta, że przy takim świecie w świecie obowiązki człowieka, jako istoty mającej inne jeszcze,

prócz miłości, zadania w życiu, cierpieć muszą; ale, gdy przedmiot ukochany zasługuje istotnie na uczucie ekstazy, gdy na najwyższym idealnym już, stopniu tej generycznej gorączki kobieta wystąpi jako rzeczywistość czci-godna, gdy samo prawo energii, jak wszystko przez czas i przestrzeń ograniczonej, odejmie uczuciu, szczególnie czy nieszczęśliwemu, siłę tej bezwzględności, która, dając zbawienie, dawać może i zagładę: uczucie zrazu pochłaniające, zamiast być ciężarem, niewolą, przekleństwem Werthera, mazgajstwem Płoszowskiego, będzie uzacnieniem, złotym promieniem słońca, błogim powiewem ciepła i światłości na życie całe, najszlachetniej nawet pojęte, najszerzej rozkolone. Wybuchy ustania, ale nie wygaśnięcie ognia. Jak ta Adelaida kawalera de Mazis, tak każda kobieta godna miłości, o jakiej tu mowa, zamiast być kulą u nogi, stanie się owszem źródłem ożywczym zachęty, pomocy, wytrwałości w życiu obowiązków i życia walkach. Błogosławiona młodość! — bo kocha, a czcząc ideał w kobiecie, typ tej czci wnosi i do ideałów świata. Nie ta miłość jest złą i szkodliwą dla społeczeństwa, która zawiele z duszy, z całej istoty ludzkiej zabiera, ale ta, która z niej nie do zabrania nie ma lub nie zabrać nie zdoła. Nie miłość pochłaniająca jest zasadniczym nieszczęściem serca ludzkiego, ale surrogaty miłości: sympatya, wystarczająca do małżeństwa i miłostka, wyszarpująca serce. Z wielkich „szkodliwych“ miłości, ród swój wywodzą wielkie myśli, wielkie dzieła geniuszu, wielkie czyny; z małych, spokojnych i nieszkodliwych sęczy się na życie całe — życia małostka. Ale recepty ani na jedną ani na drugą dać nie podobna. Każdy młody przychodzi do swej miłości z gotowym już jej typem. Orły gnieźdzą się wysoko, pod niebem; płazom zgniły dół w ziemi wystarcza.

Z AMERYKI.

Pięć tysięcy wychodźców niemal ze wszystkich krajów Europy przywiozło tu 82.500 dolarów, a między nimi najzasobniejszymi byli Szwajcarowie; przeciętnie wypadało na nich po 31 dolarów na głowę. Potem szli Niemcy, Anglicy, Włosi i tam dalej, razem nie mała grosza ubyło Europie.

Że nie znajduje się już tutaj takich dorobków, jak niegdyś, a które przyciągały tu ludzi, zaczyna się też powrotna wędrówka do Europy na wielką skalę. Pisma amerykańskie, więc już nie podejrzane o tendencyjność, podały, iż w ciągu pierwszych sześciu miesięcy 1892 r. kupiono na podróż z Europy do Ameryki 7.620 biletów, gdy w takim samym okresie czasu w 1893 r. liczba biletów zeszła do 7.050, a w roku bieżącym nabyto ich po dzień 1 Lipca 3.501, z których 500 zwrócono niezużytkowanych. Jednych może zabolalo serce, gdy trzeba było już żegnać ziemię ojczystą, drudzy zbadawszy dokładniej warunki życia wychodźców w Ameryce cofnęli i ilość wychodźców zmniejszyła się o 60%. Ale zwrot ten wykazują jeszcze wymowniej dane ostatnie zaciągnięte ze spisów amerykańskich od d. 15-go Maja do d. 16-go Czerwca opuściło Amerykę 20.163 osób, a przybyło ich w tym przeciągu czasu 15.172, co świadczy, iż w przeciągu jednego miesiąca wróciła do kątów rodzinnych 5.000 ludzi więcej, niż je opuściło.

Nie znaczy to przecież, aby za oceanem już było ciasno. Nieprzemierzone przestrzenie gruntów zdalnych do uprawy leżą tu odłogiem. Według statystyki Stanów oddających się rolnictwu a położonych nad Atlantyką i posiadających 100.000.000 akrów gruntu zdalnego do uprawy, 58 000.000 akrów nietkniętych jest plugiem. W Delaware, w Maryland dzieje się pod tym względem nieco lepiej, ale w Stanie Wirginia

większy obszar pól nieuprawnych jest o 1.000.000 akrów, niżeli obsiewanych, a tak samo dzieje się w Alabama, Mississippi, w Luizyanie i biorąc rzecz ogółem trzecia część gruntu Stanów Zjednoczonych leży odłogiem, co przecież nie znaczy, aby koloniści przybywający tu znajdowali się wobec złotego wieku, potrzeba bowiem podlać gorącym znojem czoła ten grunt pierwotny, zanim człowiek zdobędzie sobie na nim kawałek chleba, jak to już przekonało smutne doświadczenie zwabionych tu podstępnie biedaków naszych. Lasy są tu nieprzemierzone i nieprzeliczone też skarby mieszcza się w ich drzewostanie, jakiemu równego niełatwo już znaleźć obecnie na kuli ziemskiej. W Kalifornii na przykład, w hrabstwach Humbert i Mendocini znajduje się przestrzeń lesista, obejmująca 4.125 mil kwadratowych przestrzeni, a rzeczoznawcy zbadali, że są tu drzewa mające blisko trzysta lat istnienia i co za wrażenia doznaje się pod ich cieniem, przy szumie ich liści! Są tu i powalone już o ziemię ręką czasu, a badania czynione wykazały, iż leżą tu od ośmiu do dziewięciu wieków, bynajmniej nie próchniejąc, kamieniejąc raczej. Kto wstąpiwszy tu w to muzeum natury słyszał szum ich gałęzi, szmer ich liści, wyniósł wrażenie nie dające się zapomnieć już nigdy.

Do takich wspaniałych ogrodów natury należy tu Park Narodowy, miejscowość czarowna, położona wśród łańcucha Gór Skalistych u źródła rzeki Missouri, płynącej ku wschodowi w stronę rzeki Zielonej, która jest dopływem rzeki Colorado, toczącej fale swe ku południowi, oraz rzeki Węzowej, która skręcając ku północy łączy się ze strumieniem rzeki Kolumbii. W pośrodku tych wód rozciąga się majestatycznie kwadratowa płaszczyzna, której brzegi mają rozciągłość pięćdziesięciu mil angielskich; otoczona górami wznoszącymi się na trzy do czterech tysięcy metrów wysokości, a na których szczytach lodowce błyszczą pod promieniami letniego słońca, jak cudowne brylanty. Zimową porą górską ta dolina nie jest przystępną dla człowieka, bo panują tu mrozy dochodzące czterdziestu stopni, wzięta razem z otaczającymi ją lasami, obejmuje 10.000 kilometrów a była to do 1810 r. jedna z tych fortec natury, której człowiek zdobyć nie umiał i dopiero w tym czasie odważny jakiś myśliwiec dostał się do jej wnętrza i dostrzegł ognie podziemnych wulkanów, o których krążyły jedynie między tubylcami wieści głuche.

Dopiero w 1871 r. wyruszyła na zbadanie tej miejscowości wyprawa pod kierunkiem generała Stanów Zjednoczonych, Washburna, przecież dopiero druga na której czele stał uczony geolog, Hayden, poznała nietylko wszystkie właściwości, wszystkie bogactwa płaszczyzny Yellowstone, ale i jej piękności, dla których postanowiono uczynić ją własnością publiczną. Lasy nietknięte nigdy siekierą człowieka, huczące głucho wodospady, szczyty wyniosłe, usrebrzone bielejącym zdała śniegiem, przedstawiają rzadko już gdzie oglądany widok natury w stanie jej pierwotnym i na tej to podstawie ocalała ze wszystkimi urokami swymi. Amerykanie, jakkolwiek praktyczni niezmierzenie, bronią przecież starannie przed wandalizmem przemysłowców przyrodzonych piękności kraju, które każdy z nich uważa za własność swoją. Np. wodospad Niagary przyciąga do siebie rocznie 400.000 osób i ktoś podniósł myśl, aby siła wodospadu została zastosowaną do kolei i powyżej niego na przestrzeni dwudziestu naszych wiorst zbudowano nad brzegiem rzeki kolej elektryczną, która przecięciowo przewozi dziennie 17.000 osób, pragnących oglądać okolice Niagary w ich dzikiej piękności.

Do takich wielkich robót publicznych należy zaliczyć olbrzymi most, wiszący na zatoce Hudsonskiej, którego wzniesienie już postanowionem zostało; połączy on New-York z New-Jersey, a jest to przedsięwzięcie tego rodzaju, że wspólna która dzieła tego ma dokonać, poświęciła sporządzeniu i przeglądaniu planów lat kilka. Wiszący most na rzece East River łączy New-York z Brooklinem, wzniesiony lat temu kilka i uważany w swoim czasie za arcydzieło sztuki inżynierskiej, dziś już według wymagań obecnych nie odpowiada temu, co chcą zbudować. Most hudsonski po-

chłonie piętnaście tysięcy dolarów, jak pisze miesięcznik „Scientific American“, a przeznaczony on będzie wyłącznie dla pociągów kolei bieżącej w powietrzu i nam w Europie trudno uwierzyć jakim jest tu ruch w dziedzinie coraz to nowych pomysłów i hazardów. Obecnie wysilają się biegli na zbudowanie teleskopu niebywalej dotąd wielkości, któryby mógł być uznany za największy na świecie. Niejaki Mateusz Yerkes dał na to fundusz i w obserwatorium Sied zajął się budową teleskopu, którego obiektywa ma posiadać 40 angielskich cali średnicy, lecz tymczasem zanim rzecz została wykonana, powstała myśl prześięgnięcia jej i o to w nowourządzonym obserwatorium w Pittsburgu chcą posiadać teleskop z obiektywą o 50 calach średnicy, wyasygnowano już na kosztą 300.000 dolarów. Wielkie szkło szlifowanem będzie rok cały w najpiękniejszej szlifierni miasta.

Ameryka posiada hojność i rzutkość prawdziwie młodzieńczą i stara Europa musi jej ustąpić pod tym względem pierwszego miejsca. Nowa wyprawa do bieguna północnego szykuje się właśnie na okręcie „Raynwald Jarl“ i przygotowania już się czynią z wielką zabiegliwością i zarazem hojnością ze strony rządu, który pragnie, aby przedsięwzięcie to zaznaczyło się w naukowej kronice naszego stulecia. Wyprawa innego rodzaju działa właśnie na Atlantyku; morza tak jak ziemia zaludnione są tworami bujnej wyobraźni człowieka, marynarze wytworzyli sobie mnóstwo legend o duchach pokutujących wśród fal morskich, a początek temu dały błakające się po oceanie szkielety okrętów i barki rozbitych, opuszczonych przez załogę, których liczba przy nowożytnym ruchu żeglarskim tak wzrosła, że rząd Stanów Zjednoczonych postanowił oczyścić z nich ocean, bo kierowane jedynie siłą fal i wiatru, bywają podczas burzliwych nocy zwłaszcza przyczyną niebezpiecznego starcia się ze statkami, o które uderzają, szerząc obok tego zabobonną trwogę wśród prostego tłumu marynarzy. Stany Zjednoczone wyprawiły pierwsze dwa krzyżowce: „San Francisco“ i „Wezuwiusz“ na opanowanie tych błędnych szkieletów tułających się rzeczywiście jak mary przy brzegach afrykańskich, co uczyniono zarówno na wybrzeżach Indyi Wschodnich, a Anglia przyłączy się do chwytania tych statków upiórów, odbywających niekiedy podróże zadziwiające długie i jak-gdyby rzeczywiście kierowane jakąś siłą niewidzialną. Bryk „Fanny Watston“ stał się znanym na Atlantyku a otoczył go wieniec baśni snutych na tle miłosnej tęsknoty dziewczycy, której ukochany wyprawiając się na morze zginął bez wieści, a ona szuka go rozpaczliwie. Syreny w koralowych grotach stanowią tu węzeł dramatu. Uwidły niebaczny i wydarły ukochanej dziewczycy, ale ona która jest duchem czystym, dostała pozwolenie od Boga na wybawienie nieświątego z pod siły złego uroku. Przez czas długi nie widziano „Fanny Watston“ w Anglii, a według zebranych wiadomości ten statek upiór przebył w przeciągu półtrzecia roku 7.000 mil morskich, jak to było można sprawdzić przez raporty sterników portowych, którzy widywali w rozmaitych stronach skolatany ten statek. Okręt „Wyar Largent“ podobnie opuszczony pływał tak po morzu od 13-go Marca 1891 r. z cennym ładunkiem mahoniowego drzewa do Grudnia 1892 r. i przebył w tej wędrówce błędnej przeszło 5.500 mil morskich, daremnie poszukiwany. Szkielety okrętów stają się klęską marynarzy, gdyż często burza ciska je na statek, z którym się spotykają, to też władze portowe używają nieraz torpedów, aby okręty takie zostały zniszczone.

Szkoła kobiecego gospodarstwa ma być założoną w Chicago i już zawiązało się stowarzyszenie, chcące się tem zająć. W Ameryce jest rzeczą pierwszą przy wznoszeniu wszelkiej instytucji obmyślenie pomieszczenia jej odpowiedniego, i tu projektowana jest budowa domu o dwunastu, a najmniej dziesięciu piętrach. Dół i piętra niższe zajmie szkoła, a dodać należy, że mimo emancypacji amerykańskiej, praktyczna strona pracy kobiety nie jest w wychowaniu bynajmniej pomijana i jak plan szkoły wykazuje rzecz ta jest rozumnie

pojęta. Obok nauki szycia, gotowania i w ogóle gospodarstwa domowego, postawiona jest tuż zaraz nauka higieny, pielęgnowania chorych i tych pierwszych wiadomości lekarskich, które są bardzo potrzebne dla zdrowia rodziny zwłaszcza zamieszkałej na wsi, gdzie lekarz nie zaraz znaleźć się może. Wielką wagę ma przykładać zarząd szkoły do wyrobienia w uczennicach poważnego na życie poglądu i wykształcenia charakteru, bez czego kobieta nietylko nie może być dobrą gospodynią, która wagę tych obowiązków pojmuję, ale nie zdoła czuć się szczęśliwą w obec pracowitych zadań życia.

Budowę gmachu szkoły obliczono na 200.000 dolarów, że przecież pietra górne będą wynajmowane lokatorom dobrze znanym zarządowi szkoły, dochód ten da możność spłacania ratami kapitału na budowę domu użytkowego. Płaski dach ozdobiony kwiatami i krzewami przystępnym będzie dla dziewcząt klas uboższych, zamieszkałych w pobliżu i zamieniony na szkołę niedzielna, w której wykładach uczennice starsze będą brały udział, pomagając jako korepetytorki. Audytoryum szkoły, mogące pomieścić znaczną liczbę uczennic, służyć będzie w Niedzielę za kościół z ustawionym w pośrodku ołtarzem, na co miejscowe duchowieństwo przyzwoliło. Obok tego znajdować się tu będzie poza lokalem szkoły biblioteka i czytelnia dla osób przybywających z miasta, a to nietylko dla pomnożenia dochodów instytucji, lecz z zamiarem, aby matki mogły spokojnie pozwolić córkom na uczęszczanie tu, gdzie nigdy nie spotkają się z książką, mogącą wywrzeć zły wpływ na ich wyobraźnię i pojęcie życia.

Już to w Ameryce zwróconą jest ogólnie wielka uwaga na czytelnice. Biblioteki publiczne uważane są jako zakłady naukowe, ogniska oświaty z takim znaczeniem dla osób dorosłych, jacykami są szkoły dla małoletnich i ztąd zarządy miejskie mają to sobie za obowiązek obywatelski, aby zaopatrzone dobrze szerzyły światło i nazywają je też tutaj „uniwersytetami powszechnymi“, jak to jest niewątpliwie, bo niejedyn samouczek stał się człowiekiem wykształconym za pośrednictwem takich księgozbiorów publicznych. Znaczne sumy przeznaczają się na to, a w Stanach Zjednoczonych wytworzyły się nawet komisyje biblioteczne, które nietylko czuwają nad doбором książek w bibliotekach publicznych, ale zбираją fundusze z celem dopomagania miejscowościom mniej zamożnym, aby je wznosić mogły. Biblioteki zakładane są po wsiach parafialnych, a takim tu jest w tym kierunku zainteresowanie się ogółu, że bardzo często osoby prywatne nietylko przykładają się do ich wznoszenia, ale zapisują summy znaczne na ich zakładanie. W jednym roku 1890, takie zapisy na biblioteki przyniosły przeszło milion dolarów, i skutkiem tego to Stany Zjednoczone stały się klasycznym krajem bibliotek publicznych i zadziwiającym jest tu postęp w tym kierunku.

W okresie czasu od 1825 r. do 1850 r. założono ich tutaj 550. Od 1850 r. do 1875 r. powstało ich 2.240, a w dziesięć lat potem, w 1885 r., było już ich 3.804, mieszczących 31 milionów tomów. W małych miasteczkach, po wsiach zwłaszcza parafialnych, spotyka się nierzadko księgozbiory zaopatrzone bardzo dobrze nietylko w stosunku do umysłowych potrzeb publiczności, bo mówią tu sobie, że nikt nie wie jakie umysły znaleźć się tu mogą, i kto korzystając z wiedzy, jaką mu dadzą dobre książki, rozwinie skrzydła do lotu?

Z biblioteki bostońskiej, która liczy 550.000 tomów, wypożyczono do domów w ciągu 1891 r. tomów 702.000, a w gmachu bibliotecznym przeczytano ich 1.108.000. W Chicago biblioteka miejska, obejmująca 200.000 tomów, wydała ich w tym okresie czasu 999.000 do czytania na miasto, a 1.018.000 w bibliotece. Worcester, miasto jak na Amerykę małe, bo liczące 85.000 mieszkańców, wydaje rocznie na bibliotekę publiczną 60.000 dolarów, a jak czytanie klas pracujących wymaga się ciągle, dość przytoczyć, że Stan Massachusetts, liczący 2.238.043 mieszkańców a posiadający 300 bibliotek publicznych, wydał na utrzymanie i powiększenie swych księgozbiorów w latach: 1891 i 1892 r. 581.560 dolarów, i to

też jest kluczem zagadki: dla czego Ameryka wzrasta tak ciągle w potęgę swojej, i powiedzieć można, że zastój jest tu wyrazem niezrozumiałego znaczenia. Na wystawie w San Francisco rozdane zostały nagrody, na których przyznano Żmurce medal za obraz „Pieśń wieczorna“.

Kronika działalności kobiecej.

— Według planu instytutu medycznego dla kobiet w Petersburgu kandydatki, nieposiadające patentu dojrzałości składać mogą egzamin odpowiedni w gimnazjum męzkim, najbliższym miejscu ich zamieszkania. Kurs nauk trwać ma lat cztery, czyli osiem semestrów, poczem słuchaczki, które zdadzą egzamina, otrzymają po odbyciu praktyki w szpitalu, trwającej od roku jednego do lat trzech, tytuł lekarza oraz zupełne równoprawnienie z lekarzami wolno praktykującymi, dostęp do urzędów w zakresie swej specjalności w zakładach naukowych, w szpitalach i tym podobnych instytucjach, ale bez praw, jakie nadaje służba państwowa, dalej prawo zarządzania okręgami medycznymi, oraz znajdującymi się w nich szpitalami i lecznicami rozmaitego rodzaju.

— Jak to donosiliśmy, z dniem 1-ym Września otwartym będzie w mieście naszym zakład kształcący kobiety w fotografii. Szkoła ta mieć będzie dwa oddziały: pierwszy retuszowania na szkło i papierze, kolorowania fotografii i wykonywania heliominiatur, dział drugi obejmie rysunek i malowanie na porcelanie; opłata 8 rs. miesięcznie. Retuszerek jest już liczba znaczna, znajdują się one w każdym zakładzie fotograficznym i zapytać się trzeba: zali ta gałąź pracy i zarobku nie ulegnie przeludnieniu? *Prawda*, czyniąc tę uwagę w Nrze 32, dodaje: że ratowałoby to może położenie, gdyby mogła utworzyć się praca na wywóz i radzi, aby retuszerki, heliominaturzystki i malarki zapisały się do Towarzystwa pracowników handlowych i przemysłowych, gdzie obecnie wstęp jest im otwarty i gdzie korzystać mogą z biura stręczeń przemysłowców.

— Śmierć ś. p. Maryi Rotwandowej, opiekunki głównej ochrony XXIX na Lesznie, którą utrzymywała kosztem własnym, a do której uczęszcza 300 dzieci, jest wielką stratą dla ubogiej ludności naszego miasta. Przez lat kilkanaście liczny zastęp ubogich otrzymywał bezpłatnie kosztem tej pani wydawane obiady, a pragnęła ona obok tego założyć szkołę kucharek, w której uczyłyby się dziewczęta ubogie. Zwróciła się już do Warsz. Tow. Dobroczynności z tem zamiarem swoim, któremu śmierć położyła koniec.

— Mieszkanka naszego miasta, p. G., pragnie założyć aptekę, w której wszelkie czynności promotorów spełniałyby kobiety, odpowiednio do tego wykształcone.

— P. Helena Zbronecka wniosła do Warsz. Tow. Dobroczynności podanie w celu pozwolenia na otwarcie przytulku dla dwunastu sierot bez matki i ojca, które pragnie utrzymywać kosztem własnym.

— Celem zmniejszenia pijaństwa w mieście naszym wśród warstw pracujących, p. M. żona właściciela fabryki stara się o zawiązanie Towarzystwa wstrzemięźliwości między robotnikami.

— P. Zofia Rau dowiedziawszy się o braku środków na wysłanie 200 słabowitych dzieci na kolonie letnie, złożyła na ten cel 300 rs.

— Zamieszkała w Częstochowie p. Stanisława z Kaczkowskich Byszevska zapisała 5.000 rs. na założenie w Warszawie domu schronienia dla samotnych wdów i panien, postanawiając za-

pisac z czasem na tę instytucję sumę znacniejszą.

— P. M. Sokolska zamierza wzniesić na Pradze przy ulicy Targowej figurę Najświętszej Panny, której wykonanie powierzyła rzeźbiarzowi, p. Kwiatkowskiemu, ofiarując na ten cel 1.000 rs.

— P. Marya Sulicka uzyskała na fakultecie medycznym uniwersytetu paryskiego stopień doktora medycyny. Uniwersytet ten dopuścił do słuchania wykładów swoich kobiety w 1863 r., pierwszy dyplom otrzymała licencjantka nauk matematycznych, francuzka, pierwszą godność doktora medycyny angielska. W 1868 r. uczęszczało tam słuchaczek cztery, w 1878 r. trzydzieści dwie, w 1886 r. sto dziewiętnaście, ze wszystkich fakultetów prawnych jeden tylko paryski imatrykułował trzy kobiety. W Niemczech kobiety nie są dopuszczane ani na wykłady, ani do egzaminów; od 1871 r. do 1880 r. było w Lipsku kilka wolnych słuchaczek, lecz cofnięto wkrótce to pozwolenie zarówno jak i w Bawarii. W Hiszpanii i Austro-Węgrzech wstęp do uniwersytetów jest kobietom zabroniony, w Belgii wolno im jest słuchać wykładów na wszystkich fakultetach, a zarazem praktykować medycynę i farmację, tak jak w Anglii i Irlandyi, oraz w Szkocyi, choć tu opierano się temu długo, a niektóre tylko z angielskich kolonii dopuszczają kobiety do słuchania wykładów medycyny. W Holandyi znaczna ilość kobiet studjuje na uniwersytetach, najwięcej przecież kobiet liczą uniwersytety szwajcarskie. W pierwszym semestrze 1892 r. znajdowało się tam 307 wolnych i 234 matrykulowanych słuchaczek, a to: w Genewie 84, w Bern 79, w Zurychu 67, w Lozannie 5, w Bazylei 1, a z tych uczęszczało na wykłady medycyny 161, filozofii 46, nauk przyrodniczych 21, prawa 5, politechniki 3. Pomimo to między 1.157 lekarzami jest w Szwajcaryi tylko kobiet 10, Włochy, gdzie tradycja studyów uniwersyteckich kobiety jest odwieczną, dopuszczają kobiety do wszystkich wszechnic swoich i pozwalają na praktykę we wszelkich zawodach publicznych, oprócz adwokatury. W Szwecyi, Norwegii i Dani i wolno kobiecie studiować i pozyskiwać stopnie akademickie na wszystkich wydziałach, nie dopuszczone są przecież do żadnego publicznego urzędu państwowego; w Islandyi kobieta posiada prawo praktyki lekarskiej i składania egzaminów ze studyów filozoficznych i teologicznych, ale bez żadnej praktyki w tym kierunku. W Ameryce nie istnieją żadne ograniczenia tak w czerpaniu ze źródeł wiedzy, jak i w użytkowaniu posiadanych wiadomości.

— W Anglii znaczna liczba kobiet obiera sobie świętołblwy zawód misyonarek-lekarek, „Medical Missionary“. Obecnie jedną z najwybitniejszych między niemi jest miss Alicya Marston, która w 1889 r. udała się do Pekinu i pracując tam spełniała swoje świętołblwe dzieło, tak w mieście samem jak i w okolicy; obecnie puściła się na sześćdziesiąt mil angielskich wgląd kraju w okolice, gdzie panuje malarya i sroga choroba oczu. Miss Marston miała towarzyszkę biorącą udział w poświęconej jej pracy, miss Parson; we dwie zwiedzały wioski odległe od bitych traktów, gdzie tylko choroba szerzyła się mocniej przybywały, dawały rady, zostawiały lekarstwa, ujmując sobie dzień za dniem silniej serca biednego ludu i pozyskując go dla wiary w Chrystusa. Szczególniej wpływ wywierany działał na kobiety a za ich pośrednictwem na ludność wiosek zwiedzanych. Lekarki misyonarki są w ogóle najsilniejszymi narzędziami nawracania na wiarę Chrystusową, której przykazania miłości bliźniego czynem nauczają. Znajduje się obecnie w Londynie jedna z takich, miss Hall, która cztery lata pracowała na tej niwie najszczytniejszego poświęcenia się dla bliźnich, obecnie kształci się dla tych samych celów w farmacji; zdążyła już pierwszy egzamin, lecz nauka trwać będzie jeszcze lat trzy, otrzymuje ona od Towarzystwa niewielkie stypendium 25 funtów rocznie, ale zysk, którego poszukuje, jest innym.

— Pierwsze międzynarodowe zebranie kobiet z celem oddziaływania kobiety na dobre obyczaje odbędzie się wkrótce w Londynie pod przewodnictwem Lady Aberdeen.

— Panie przebywające w Londynie podczas sesji parlamentu urządziły zebrania, na których naradzano się nad takim wychowaniem dzieci, aby realizm nie zapanował w sercach młodych nad ideałem. Lady Katarzyna Gaskell postawiła to w przemówieniu swoim na miejscu pierwszym, aby życie rodziców było tu wzorem dawanym przez przykład dobry.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż w ostatnich czasach liczba inspektorów podatkowych okazała się niedostateczną, wskutek czego ministerium skarbu opracowało projekt z celem powiększenia ich o sto osób, nowo-mianowanych na ten urząd. Projekt zostanie wniesionym do rady państwa w miesiącu przyszłym.

— Ministerium rolnictwa opracowało program zjazdu plantatorów lnu w Pskowie, zawierający się w czterech paragrafach: wykazanie środków mających na celu rozpowszechnienie między właścicielami ziemskimi prawidłowej uprawy lnu; co należy czynić aby plantatorowie mogli nabywać dobre nasienie i przeszkodzić sztucznemu obniżaniu cen lnu w porze kiedy włóścianie zmuszeni są sprzedawać go; jak zachęcić przedsiębiorców do urządzenia przędzalni lnu?

— Piszą z Petersburga, iż ministerium rolnictwa zajęło się sporządzeniem szczegółowej mapy lasów na całym obszarze państwa.

— Ziemianie i obywatele miejscy z okolic Siedlec zawiazali parcelacyjną spółkę udziałową. Kapitał zakładowy wynosić będzie 150.000 rs., utworzony z trzydziestu udziałów po 5.000 rs., za którą to sumę spółka nabywać będzie po dwa mniejsze, lub jeden większy majątek ziemski dla rozparcelowania. Każde nabyte dobra powinny być według ustawy rozparcelowane w ciągu roku, poczem spółka nabydzie zaraz majątność inną i dokona parcelacji w roku następnym. Gdyby trafił się do nabycia na warunkach dogodnych majątek większy, którego szacunek przenosiłby kapitał nakładowy, w takim razie spółka przyjmie odpowiednią liczbę nowych uczestników. Pierwszą posiadłość ziemską zamierzają oni nabyć w okolicach Mławy i należy tylko, aby objaśnieniem zostało, czy ziemia ta sprzedawana będzie każdemu bez wyboru? To warunek bardzo ważny.

— Bank wiejski hr. Alexandry Branickiej w Białej Cerkwi ogłosił sprawozdanie za rok ubiegły. Bilans wykazał 14.356 rs.; zysk czysty przedstawiał 2.878 rs., z której to summy odliczono 575 rs. na wynagrodzenie członków rady, a 501 na kapitał zapasowy.

— Po porozumieniu się warszawskiej komisji sanitarnej z duchowieństwem parafialnem naszego miasta i prowincyi, rozpoczęto wyjaśniać z kazalnicy warunki, jak należy zachowywać się dla utrzymania zdrowia.

— Zarząd Towarzystwa Dobroczynności otrzymał kopię testamentu ś. p. hr. Suchodolskiego, którym przeznaczają całą majątność swoją Gościeradów na rzecz tegoż Towarzystwa, z warunkiem utrzymania zapisu, który oddaje w dożywocie bratu zapisodawcy te dobra i zarazem urządzenie w pałacu szpitala ogólnego dla biednych, wydelegował p. Makowskiego, budowniczego do zwiedzenia pałacu i skreślenia planu wewnętrzne-

go urządzenia przyszłego szpitala. Jednocześnie zarząd Towarzystwa zdecydował po dokładnem sporządzeniu spisu inwentarza, iż ze strony Towarzystwa ustanowionym zostanie pełnomocnik, który zamieszkując na miejscu dozorować będzie wspólnie z administracją dożywotnią zarządu majątkiem.

— Muzeum rzemiosł zawiadamia, iż sale kopii, zostaną otwarte przy tem muzeum z dniem 1-go Września. Osoby pragnące stale uczęszczać do tychże sal z celem korzystania z modeli i okazów, mogą się zgłaszać codziennie do kancelaryi Muzeum pomiędzy godziną 11 z rana a 2 po południu dla otrzymania biletów wejścia.

— Drugi zeszyt pięknego wydawnictwa: „Królowa Niebios“ wyszedł z druku. Jest to, jak wiadomo czytelnikom naszym, szereg odczytów p. M. Gawalewicz, zawierający cykl legend o Matce Boskiej. Zeszyt zdobią dwie prześliczne ilustracje Stachiewicza: „Ucieczka do Egiptu“ i „Matka Boska Siewna.“ Autor poświęca tę poetyczną pracę swoją „córkom naszym“ i można powiedzieć mu za to: Bóg zapłać. Bóg zapłać za rzecz prześliczną, pełną poezji doskonale swojskiej, jakiej też potrzeba kobiecie, aby umiała spełnić zadanie swoje wśród rodziny i społeczeństwa. Dobrze też jest dobranem motto, w którym autor objaśnia stan uczuć tych, którzy legendy te tworzyli, snując ich wątek z uczuć i wrażeń poezji rodzimej.

— W Brukselli odbędzie się w drugiej połowie Września „Pochód drogich kamieni“ uroczystość szczególna w swoim rodzaju i niewidziana nigdy a urządzona przez radę miejską z celem sprowadzenia do miasta cudzoziemców, którzy zjechali się na wystawę antwepską. Rada przeznaczyła na to 40.000 franków i wedle ogłoszonego już programu korowód przeciągnie wieczorem przez ulice miasta, oświetlonego światłem elektrycznem, a będzie go składało sześć wozów ogromnych, oznaczonych tak w programie: wóz światła, wóz dyamentów, wóz topazów, wóz rubinów, wóz szafirów i na koniec wóz kosztowności. Osiemset osób przyjeżdża udział w wykonaniu tej uroczystości, artyści skreślili plan i dostarczają rysunków do kostiumów potrzebnych tu, aby odpowiadały charakterystycznie zadaniu. Załoga miejska ma dostarczyć koni, oraz żołnierzy.

— Międzynarodowy kongres ochrony zwierząt otwarty d. 13-go Sierpnia zgromadził 200 osób. W kwestyi międzynarodowej opieki przelotnego ptactwa przemawiał D-r Ohlsen, i postanowionem zostało, aby ochrona ptactwa we wszystkich niebezpiecznych gatunkach zaprowadzoną była we wszystkich krajach.

— Kilku malarzy naszych z Wojciechem Kosakiem i Julianem Fałatem na czele, powzięło myśl wykonania wielkiej panoramy, przeznaczonej najpierw dla Wiednia a przedstawiającej pogrom armii Napoleona przy przeprawie przez Berezynę.

— Pejzażysta Wastkowski wykonał kilka krajobrazów z okolic Częstochowy i Ojcowa. Album widoków Ojcowa i okolicy wyszedł z fotografii p. Rizzi, w Nowej Aleksandryi.

— Balada Szyllera „Rękawiczka“, została przerobioną na dramat, który obecnie wystawiony jest w Ameryce, w Bostonie. Rzecz odbywa się zupełnie w takich obrazach, jakie skreślił poeta: lwy, tygrysy i lamparty ukazują się na scenie i gryzą się między sobą, czemu przygląda się z balkonu rycerze i damy, z pośród których jedna opuszcza rękawiczkę i rycerz jej myśli, którego przedstawia Karol White, najdzielniejszy pogromca zwierząt w Ameryce, schodzi na arenę i podnosi rękawiczkę, której przecież nie ciska w twarz okrutnej piękności, ale klęska przed inną, która wobec okrutnej sceny zakryła twarz zalaną łzami, jak się to pokazuje, gdy ją odsłoniła, aby przyjąć dar otrzymany.

— Jan Strauss, przebywający obecnie w Ischl, ukończył najnowszą swoją operę „Święto jabłkowe“ (Das Apfelfest). Rzecz jest osnuta na motywach słowiańskich, łużyckich.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się Mamona, przez Mrs Aleksander przekład z angielskiego, ark. 5.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

TREŚĆ: Praca kobiety.—Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg).—Dyalog Napoleona I-go o miłości.—Z Ameryki. — Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Mamona, przez Mrs Aleksander, przekład z angielskiego. Arkusz 5-ty. — Przegląd mód.—38 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycja stołu.